

Rozkładanie skrzydeł

Jeśli polityk, który przez lata budował swój wizerunek publiczny na podkreślanii chłodnego dystansu wobec Kościoła, nagle bierze udział we wspólnym kolędowaniu, zacząłbym od referowania klasyków: Henryk IV Bourbon to wprawdzie nie Edgar Morin, ale „Paris vaut bien une messe” też można przecież uznać za rodzaj politycznego credo.

Rozpiętość skrzydeł to poważna sprawa. Nawet u pospolitej kury domowej wynosić ona może ponad 70 cm; łabędź ma od lotki do lotki blisko dwa i pół metra i, jak przestrzegają do znudzenia starzy kajakarze, potrafi, zamachnąwszy się, złamać człowiekowi rękę. Albatrosy osiągają rozpiętość do czterech metrów, w pliocenie nad oceanami szybowały dwukrotnie od nich większe pelagornitydy. Oczywiście, technika (na pozór) zawstydzia przyrodę i Airbus A380 ma rozpiętość skrzydeł rzędu 80 metrów; ale wszystko to jest niczym przy osiągnięciach dojrzałych, dobrze odżywionych partii politycznych.

Rozpiętość skrzydeł partyjnych studiowana jest przez pokolenia politologów, skwapliwie gromadzących kolejne rekordy. Wiele ugrupowań potrafi pomieścić w swych szeregach zwolenników izolacji i ingerencji, agrarystów i technokratów, radykałów i tradycjonalistów – i wcale nie myślę tu o „Partii Umiarkowanego Postępu (w Granicach Prawa) Jaroslava Haška. Nie, najzupełniej realne i współczesne ugrupowania, nie tylko w autokracjach i dyktaturach, gdzie monopartia z konieczności wyrażać musi wszelkie potrzeby ludu, lecz i w tzw.

wielkich demokracjach Zachodu mają swoje oficjalne, bardzo szeroko rozpięte skrzydła (niekiedy nawet kilka ich par) i bywa tak, że największą troską zarówno ideologów, jak badaczy, jest wyszukanie postulatu, który nie mieściłby się na platformie programowej ugrupowania.

U ptaków za rozpiętość skrzydeł odpowiadają hormony wzrostu uruchamiane przez zbliżanie się okresu godowego. U partii skrzydła szczególnie szeroko rozpościerane są u progu kampanii wyborczych. Jest to, jak wiadomo, szczególny czas dla organizmu, kiedy to, zwłaszcza u ptaków, zmienia się upierzenie, zachowania, a także barwa i długość teli. U partii i polityków jest podobnie, pojawia się u nich zdolność podejmowania wielu działań, obliczonych na zwrócenie uwagi, wyróżnienie się z tłumu czy podkreślenie swojej wyjątkowości. Dobrym tego przykładem jest wigilijny happening p. Petru, który, jak się zdaje, postanowił wypromować w Biedronce nowy zestaw przytulank, a mianowicie Gang Liberalniaków: tym razem zamiast Dyni Dorotki czy Brokuła Bartka babcie gromadzić będą punkty z myślą o podarowaniu wnuczkom Zuzi Zeroskładki, Iwonki Invitrusi czy Patryka Partnerskiego.

Dla naturalisty są to zjawiska zupełnie zrozumiałe i dziwi go lub bawi zgorznie, okazywane przez nazbyt pryncypialnych komentatorów, oburzonych, że polityk, który przez lata budował swój wizerunek publiczny na podkreślanu chłodnego dystansu wobec Kościoła nagle bierze udział we wspólnym kołędowaniu na antenie telewizyjnej i w konkatedrze warszawskiej. Mniejsza już o argument, który z pewnością podniosła (przyznam: nie śledziłem) rzutka aż do granic rzutu klimkiem rzeczniczka Ratusza, a mianowicie, że kolędy są wspólnym dobrem kulturowym, a w Świętach nie chodzi o to, by kogokolwiek

wykluczać. To oczywiście prawda, ja jednak skupiłbym się raczej na referowaniu klasyków: Henryk IV Bourbon to wprawdzie nie Edgar Morin, ale „Paris vaut bien une messe” też można przecież uznać za rodzaj politycznego *credo*.

Tej mądrości, chłodnej i oszczędnej, trzymały się w dziejach, bez przesady, tysiące polityków, gdy dochodziło do zabiegania o głosy wyborców, bo takie są po prostu reguły gry o naprawdę wysoką stawkę: tron czy Pałac. Graficzka Ratusza, pani Ola Jasionowska, może sobie pozwolić na niezłomność i przez kolejne cztery lata, w przerwach między pracami dla Aborcyjnego Dream Teamu czy Greenpeace Polska, konsekwentnie malować plakaty z życzeniami świątecznymi od władz miasta, w doskonały sposób wolne od wszelkich nawiązań do tradycyjnego imaginarium, nawet od wołu i osiełka, choć to stworzenia Greenpeace’owi miłe; ale żeby pani Ola mogła tak dalej malować, kilka piętér wyżej trzeba pójść na kompromis, zadbać o centrum, zaobliczyć kontrowersje i zatrzeć złe wrażenie.

Ani więc dziwi mnie, ani gorszy, żywy udział chlebowodawcy p. Jasionowskiej w tegorocznym koncercie kolęd, ciepłe zdjęcia z choinką i porcelitową zastawą w tle, zdjęcia, które czuć nie pudrem, lecz piernikiem. I nie zdziwię się, jeśli pójdzie tą drogą jeszcze o krok i dwa dalej.

Może to oczywiście rodzić mieszane uczucia, ale satyrycy, w swojej intencji wytknięcia tego, co uważają za obłudę, posuwają się do rażących przerysowań. Nie, jestem przekonany, że autor zarządzenia o neutralności światopoglądowej urzędów miejskich z maja br. ani nie będzie się ostentacyjnie fotografował z różańcem, ani we włosienicy, a kalendarz wyborczy szczęśliwie zwolni go od wzięcia udziału w procesji Bożego Ciała (w tej sprawie istnieją już w XX-wiecznej historii Polski

pewne precedensy). Nie zrobi tego zarówno przez szacunek dla siebie, jak ze względu na przestrogi doradców od PR. Natomiast jakiś koszyczek ze święconką? Wielkanocny spacer? Któryś z gestów, które rzeczywiście „są wspólnym dobrem kulturowym” i można się ogrzać w ich ciepłku bez zbytnich wyrzeczeń? Tak, tego bym nie wykluczał.

I tu właśnie upatrywałbym – być może zbyt lubując się w filmach sensacyjnych i komediach slapstickowych – pewnego ryzyka. Ryzyka splątania scenariusza. Załóżmy bowiem, że kandydat na prezydenta RP będzie właśnie zmierzał ze święconką do zaprzyjaźnionego klasztoru dominikanów, gdy nagle – jak onegdaj w Lublinie – w tłum wtargnie grupa policjantów, wysłanych w poszukiwaniu kolejnej osoby, którą zechce ścigać min. Bodnar. Może dojdzie i tym razem do naruszenia klauzury? A może – gryps tak łatwo wetknąć przecież pod skorupkę pisanki – do przeszukiwania koszyczków? I jak w takiej sytuacji ma się zachować kandydat? Skoro udział w kolędowaniu i nalot na klasztor mogły się zdarzyć w grudniu, tym bardziej mogą się zdarzyć w kwietniu. Nieraz tak się zdarza przy próbach zaskarżenia sobie sympatii różnych elektoratów naraz: i tego od kolędowania, i tego od ośmiu gwiazdek.

Mówiąc językiem ornitologii, mamy wówczas do czynienia nie tyle z rozkładaniem, co ze skrzyżowaniem skrzydeł. W naturze zdarza się ono rzadko, anatomia ptaków na to nie pozwala: to u rzeźnika natknąć się nieraz można na wyłożone na ladzie, z filuternie skrzyżowanymi skrzydłami, tuszki kurczące. Odpowiednikiem takiego ułożenia ciała u ludzi są nerwowo skrzyżowane ręce: najczęściej można je zobaczyć u osobnika, zaskoczonego *in flagranti* lub pod prysznicem.

Wojciech Stanisławski